ROK CZWARTY.

№ 45.

WARSZAWA

D. 25 października (6 listopada)

1859.

Niedziela

21a po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie; lecz podług nowych przepisów, w jednej kopercie jeden tylko egzemplarz Czytelni, tak jak każdego pisma peryodycznego, przesyłany być może.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Błagamy Cię Panie, racz strzedz ustawiczną dobrocią czeladkę twoję, iżby za twą obroną od wszelkich przeciwności wolną była, a w dobrych uczynkach, święconych Twemu Imieniowi wytrwałość okazała. (Kollekta na Niedzielę 21szą po Świątkach).

Dzień Zaduszny.

—

Nad ziemią ciąży tuman szarawy i mglisty,
Lud wierny do świątyni gromadzi się tłumnie,
W powietrzu brzmi głos dzwonu smętny, uroczysty,
Jak poważny ton pieśni o śmierci i trumnie.
O! wielką to pamiątkę Kościół Boży święci,
Wielką myślą do serca ludzkości kołata;
Wszakże to *Dzień Zaduszny*, co budzi w pamięci
Pozagrobowe życie i znikomość świata.
O! dalej bracia moi, w szczerej serca skrusze,
Nie leńmy się podążyć do świątyni progów,
By pokorną modlitwę słać Bogu, za dusze
Rodziców, krewnych, braci, przyjaciół i wrogów.
A jeśli ciężki smutek serca nam przygniecie,
Wyższą myślą religii uzbrójmy swe siły;
Niechaj duch nasz zatonie w innym, lepszym świecie,
Co się wiernym otworzy przez bramę mogiły.
NieściGłem skrzydłem wiary ku niebu się zwróćmy,
A płacząc tych, co znikli z żywota kolei,
Nie rozpaczajmy błędnie i nie tak się smućmy,
Jako ci, którzy żadnej nie mają nadziei.
Bo czyż dla chwilowego, ziemskiego cierpienia
Godzi nam się pozbawiać pociechy serdecznej,
Że nam Chrystus otworzył bramę do zbawienia,
Że dla jego wyznawców nie ma śmierci wiecznej?
Szczęśni ci, co skończywszy pielgrzymkę na ziemi,
Bez trwogi i zgryzoty porzucali ciała;
Oby kiedyś, gdy w grobie połączym się z niemi,

I po nas pamięć czynów cnotliwych została.
Oby dziś naszych modłów uroczyste pienia
Odniosły błogi skutek u stóp Boga w niebie,
Byśmy przez nie u kresu ziemskiego istnienia
Znaleźli także pokój i łaskę dla siebie.

Kowal, jakich mało i czapnik, jakich dużo.

—

Przed laty dwudziestu przeszło wracałem śpiesznie do domu z Warszawy, a wracałem z pogwałceniem święta, bo w dzień niedzielny.

Lecz przyczyną tego nie było lekceważenie wiary ojców moich, ale potrzeba śpiesznego powrotu, skutkiem wiadomości o chorobie dziecka. Postanowiłem jednakże tak się urządzić, aby popasy przypadały w miejscach, gdziebym mógł nabożeństwa rannego i poobiedniego wysłuchać, i choć tem grzech mimowolny zmniejszyć. Z takiem postanowieniem wyjechałem z Warszawy, ale jakoś nie bardzo mi się szykowało w drodze. Naprzód spadło mi koło, to znowu oś się zatliła, dalej uniosły konie przestraszone, i w ostatku z powodu pęknięcia podkowy tak koń okulał, że zaledwie dowlekliśmy się do wsi Kożuszek niedaleko od Sochaczewa położonej, a dalej już nie sposób było jechać. Tak więc ślub mój wysłuchania mszy świętej w Sochaczewie nie mógł być dopełnionym, bo chociaż wiorst kilka tylko mógłbym pieszo podążyć, ale przygody doświadczane w drodze o tyle mnie zatrzymały, że to już było blisko południa, kiedy sklepienia domów Bożych powtarzały tylko echem uroczystą pieśń kończącą nabożeństwo: *Twoja cześć chwała nasz wieczny Panie!*

Przecież w naturze ludzkiej, nadzieja, nawet niepodobne rzeczy możebnemi przedstawia. Spostrzegłszy kuźnią naprzeciw oberży, pomyślałem sobie, ażaliż kowal okuciem konia nie wybawi mnie z kłopotu — ale w święto... czyż zechce on robić? Ha, a może to nie miec, ewangelik, nieobserwujący uroczystości dnia tego. Tak rzeczy ważąc, spytałem oberżysty:

— Jest tu kowal?

— Jest panie.

— A jakiego wyznania?

— Katolik.

— A czyby on nie podkuł mi konia, który się w drodze rozkuł?

— Albo ja wiem, odpowiedział oberżysta. Kowal nasz to dziwny jest człowiek; trafić mu jak to mówią w sedno, to gotów sobie dla drugiego gardła poderznąć; ale chowaj Boże z nim zadrzeć, to takoż niema dla niego nic niepodobnego.

— A czemżeby go można ująć? spytałem znowu, może znasz jego słabą stronę ulubiony numer flaszki?

— Tego panu nie powiem, bo kowal bardzo rzadkim jest u mnie gościem; sam jeszcze i razu nie przyszedł, i w tenczas go tylko widzę, jak go podróżny zaprosi. Niech pan pofatyguje się do kuźni; może on panu usłuży w tak nagłej potrzebie. Ale otóż i on, rzuciwszy okiem przez okno, zawołał oberżysta — jakby na spotkanie pańskie wyszedł i czeka na pana przed kuźnią. Niech pan idzie.

Posłuchałem oberżysty, a podchodząc ku kowalowi, pokłoniłem się czapką i powitałem chrześciańskiem pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chry-stus.

Kowal odkłonił się wzajem i odrzekł:



Na wieki, wieków amen.

Tu nastąpiły chwilowe oględziny, a jak wyglądam jeśli jesteście ciekawi, niech wam pan majster opowie; ja zaś jego opiszę: chłop jak dąb, pyski jak kafle, oczy jak gwiazdy, ręce jak łopaty. Ubrany był schludnie: w granatowej opiętej kapocie, kołnierz u koszuli wywinięty czysty, czapka okrągła granatowa krojem furażerki z lampasem i wypustką amarantową, na prawe ucho nasunięta, a zpod dziureczki spiętej z guzikiem, wyglądające zaledwie dwa skrawki czarnej z niebieską i czerwoną wstążki. Oto macie rzetelny wizerunek p. majstra. Za nim zaś przystąpiłem do interesu, to jest do kucia konia, lubo pilno mi było, umyśliłem małą gawędką uposobić sobie pana majstra.

— Czy czasem p. majster nie domaga?

— A zkądże pan wie o tem?

— Ha! tak to sobie wnoszę, bo to dziś święto, a p. majster nie w kościele.

— Nie wszyscy słabi, co go dziś nie nawidzają, odrzekł z uśmiechem kowal, i znacząco na mnie spojrzał.

Pomiarkowałem, że to do mnie wypił, ale połknąłem przymówkę, nie odbijając do p. majstra, żeby go nie rozdrażnić. Dyskurs się urwał, milczenie trwało przez chwilę; ja więc jako strona pilniejsza przerwałem takowe, zaczynając od usprawiedliwienia, co się stało przyczyną jazdy w dzień świąteczny w katolickim swiecie, i dokończyłem, wyznając mu boleść moję, że z powodu rozkutego konia nie będę się mógł modlić w kościele. Pan majster pocieszał mnie, że i on w domu się tylko modlił, a żonę z czeladzią wyprawił do kościoła, i dopiero jak oni powrócą, to znowu z dziećmi pójdzie na nieszpory — bo to widzi pan przy sosie, to zawsze trzeba pilnować dzieci i domu od złych ludzi, gdyż oni zawsze wypatrują chwilę, w której ojcowie nie są obecni, aby spełnić swoje nieczyste zamiary.

Gorąco było na świecie Bożem, ale mnie jeszcze gorącej się zrobiło na samą myśl, czyli nie do mnie znów wypił. Ale pomiarkował pan majster, że mi przykrość wyrządził, a jakby łagodząc złe, domówił:

— To panu widać i do domu i do kościoła pilno.

— Oj! pilno, bardzo pilno, panie majstrze dobrodzieju, a kując żelazo dopóki gorące, chwytałem dobre usposobienie kowala i spytałem, czyby się nienapił wódeczki; drażniąc zaś podniebienie majsterskie, twierdziłem, że w Kożuszkach wódeczka rybnoska musi być bardzo dobra, bo Rybno na kraj cały głośne jest z wyrobu wódek słodkich i likworów.

— Tak panie, ma być podobno wcale niezła wódka rybnoska, ale ja jej nie znam, bo nie pijam. Kowal, który ma żonę i troje dzieci, słodkich wódek pić nie może i nie powinien, bo po takiej słodyczy całej rodzinie byłoby kwaśno.

— Więc to p. majster nie pija w cale wódki?

— I owszem, czasami wypije kieliszek, choćbym jej wcale pić nie powinien, z przyczyny kołtuna, który mnie odmłodu napastuje i czasem oczy zaciemnia; ale jeśli wypiję, to tylko w domu, albo przy kowadle, ale w szynku lub oberży niebywam, ino wtedy, gdy mnie do roboty zawołają. Wódki nie piję innej jak tylko naszą poczciwą żołnierkę, *szpagatówkę*, tak jak na świat przyszła, a przedewszystkiem w miarę użytą. Otóż i z panem pójdę, ale nie na wódkę, bo ja znam różnicę stanu (tu się wyciągnął i ręce na szwie położył), na tem porządek świata leży: starsze wąsy od fryzury; ale idę panie przekonać się, czyli koń dlatego upadał, że niema podkowy, czyli też z innej przyczyny, bo to panie mój i na medycynie końskiej znamy się trochę.

Podobał mi się rozmowny kowal, podobała mi się jeszcze więcej jego postawa; więc mu nie folgowałem w zaprosinach, aż i dał się niemi zniewolić i palnęliśmy po kieliszku kimel numer drugi fabryki rybnoskiej. I wraz jak z procy wyrzucony, tak wypadł kowal z szynku, zajrzał do stajni, opatrzył konia, pobiegł do kuźni, przyniósł co potrzeba, i podkuł upadającego konia podkową na skórze od słoniny.

— Otóż już gotowe, każ pan zaprzęgać, można jechać; koń zrazu trochę jeszcze napadnie, ale do Sochaczewa kuleć nie będzie. Potem oświadczeniu odchodził.

— Wtedy zapytałem, a co panie majstrze jestem ci winien?

— Dobre słowo.

— Jakto słowo? a przecież dałeś swoję podkowę, kawał słoniny, jeżeli już nic roboty nie rachujesz.

Ale kowal nie zatrzymując się, zdjął furażerkę z głowy i tak domówił:

— Kto ma Boga w sercu, a w pamięci przykazanie Jego, w święto za pieniądze nie robi. Tu mi się pokłonił i oddalił.

Tak niespodziane obejście się rzemieślnika, z których z małem wyjątkiem prawie każdy przy zdarzonej sposobności drze bez sumienia, tyle mię zdziwiło i ujęło, że nawet nie podziękowałem kowalowi; rachunek z nim zostawiłem czasowi, a tymczasem chciałem załatwić się z gościnnym.

Popas był krótki, więc rachunek niewielki urosł; w nim, na rzut oka dostrzegłem pominięcie dwóch kieliszków kimlu i przypomniałem je oberżyście.

Ale nowa niespodzianka mnie zdziwiła, kiedym usłyszał, że tylko co kowal przez swego chłopaczka przysłał 10 groszy należne za dwa kieliszki.

To już za wiele, pomyślałem sobie. Zaspokoiwszy należność za popas, kazałem furmanowi wyjeżdżać, a sam pobiegłem do kowala.

Ale nie zastałem nikogo: ani ojca, ani dzieci, mieszkanie i kuźnia były zamknięte; nawet nie pozwolił mi podziękować sobie.

Konie już były gotowe, wsiadłem na bryczkę zamyślony i marzyłem przez trzywiorstową przestrzeń drogi, za nim przyjechałem do Sochaczewa, że szlachetną duszę i serce wszędzie znaleść można.

O owym kowalu, za którego w domu Bożym OO. Dominikanów serdecznie westchnąłem, słyszałem w mieście niejedne historyą, równą postępkowi ze mną, i dowiedziałem się, że to był niegdyś żołnierz z pierwszego pułku ułanów.

(Dokończenie nastąpi).

Godziny po robocie.

IX.

— W ostatniej naszej pogadance, odezwał się p. Dorosz do przybyłych przed dom jego gości, wytłumaczyłem wam moi kochani, że praca jest trudem, że do niej trzeba zachęty, a jedną z takich zachęt, jest zabezpieczenie, iż każdy pracownik spokojnie użyje owoców swego mozołu.

Otóż prawo używania tego, co do nas należy, czyli owoc naszej pracy jest *własnością* człowieka; a możność używania tej własności i swobodnego nią rozrządzania, jest zachętą do pracy. Uczucie to własności jest wrodzone każdemu człowiekowi.

— A toć to W. dziedzicu, przerwał Bonek, i zwierzęta bronią swego; niedawno widziałem w lesie, jak biedna ptaszyna mało oczów nie wydarła zbereźnikom, którzy jej gniazdo zabrać chcieli.

— Ej, to nie tylko to, mój sąsiedzie, odezwał się Klepacz: mój wierny Kruczek w nocy to ani się zbliżyć nie da nikomu do mojej chałupy lub stodoły; a jakem raz wracał z jarmarku i worek z owsem mi upadł z wozu, to poczciwe psisko całą noc warowało przy nim na drodze, ażem rano dostrzegł zguby i worek ów zabrał. Toć i nawet głupi ptak i nierozumne zwierzę przez instynkt rozumie niby, co to jest własność.

— Dobrze mówicie moi ludzie, rzekł doktór; a czyliż np. dziecko nie rozumie już, co *moje*, a co *twoje*, chociaż jeszcze głupie i ledwo mówić zaczyna?

— A tak, a tak... odezwano się wkoło.

— A więc widzicie, że własność jest wszędzie, bo jest nieodłączną od natury człowieka. Co posiadamy z naszej pracy, to nasze.

— Ale jakże, odezwał się Grzegorz, zabezpieczyć sobie to, czego nie trzymamy w naszem ręku?

— Widzisz, mój Grzegorzu, rzeczy, jakie posiadać możemy, są jedne takie, które się wziąć i przenosić dają, np. pieniądze, sprzęty i t. p. a drugie znowu takie, których przenosić nie możemy, np. domy, role i t. p.

Otóż pierwsze z nich nazywają się *ruchomością* i te łatwo zabezpieczyć, bo je łatwo posiadać; co do drugich zaś, które się zowią *nieruchomością*, to zabezpieczamy sobie ich własność przez akta rozmaite, pisane u rejenta.

— A to tak, widzicie moi kochani, przerwał Bonek, uprzedzając odpowiedź doktora, jakto ja przed rokiem byłem w powiecie, i tam trzy morgi gruntu sprzedałem Jakóbowi memu sąsiadowi. Jest tam książka w Sądzie, w niej napisali to, co myśmy między sobą umówili, a potem dali nam pismo w rękę i basta.

— Tak, tak, mój Bonku! własność takich rzeczy zabezpiecza się przez prawo, za pomocą skryptu, czyli *aktów własności.*

— Przyznam się szczerze, mówił Jacenty cieśla, że cóż mi z tego przyjdzie, choćbym ja jadł i pił po uszy za życia mego, kiedy jak umrę, to nie wiem, co się z tem zrobi?

— Pozwólcie mi dokończyć—to też do własności należy nie tylko mieć co i używać tego samemu, ale jeszcze módz rozrządzić podług woli tem, co mamy. Dlatego to w społeczeństwie naszem dozwala prawo rozrządzać testamentem na przypadek śmierci, a za życia przez kupno, sprzedaż darowiznę i t. p. I takie urządzenie, takie zapewnienie własności robi i pomnaża bogactwo kraju całego i narodu.

— Ale W. dziedzicu, odezwał się Szlej, któremu ta cała rozmowa nie była do smaku; to dobrze, że np. płótno, które Jacenty wyrobił, należy do niego, a zboże, jakie Bonek zasiał i zebrał, do Bonka, bo to są owoce ich pracy—lecz tego zastosować nie można do ziemi samej, która ten plon wydała. Wszak to nie człowiek ziemię ulepił, ale stworzył ją Pan Bóg, a nie stworzył dla jednego tylko, ale dla wszystkich. Dla czegóż jej używa jeden, a drugich usuwa?

— Nim ci na to odpowiem, powiedz mi ty wprzód proszę, czy grunta młynarza w sąsiedniem miasteczku są jego własnością?

— Niezawodnie, bo ojciec jego za życia te grunta posiadał na własność i pozostawił mu takowe w puściznie.

— Zgoda, a wracając się od ojca dzisiejszego właściciela do dziada, od niego do pradziada i tak dalej, dojdziemy do tego, że kiedyś przecie ktoś pierwszy zajął ziemię wtedy, kiedy ona jeszcze do nikogo nie należała. Ale jakąż ona była wtenczas, nim ją przyprowadził do uprawy? Była okrytą dzikiem zielskiem, głogiem, krzewami i zarzucona kamieniami. Musiał więc powycinać te krzewiny, wykarczować pole, powyrywać zielsko; że zaś nie miał takich narzędzi, jakie my dziś znamy, wystaw sobie, ile on pracy w tę ziemię włożył. Czyż tak opracowana gleba nie jest jego własnością?

— Mnie się zawsze jednak zdaje, przemówił Grzegorz wyrobnik, że najlepszem bogactwem, to są pieniądze.

— Jużem wam, odpowiedział doktór, poprzednio wytłumaczył, że ludzie wzajemnie sobie usługiwać muszą i zamieniać swoje usługi, np. ty Grzegorzu! potrzebujesz obuwia; pracujesz krwawo na to, abyś zarobił na pieniądz, a za ten dopiero kupił sobie buty. Nie prawdaż?

— A tak W. dziedzicu!

— Widzisz zatem, że nie pieniądz jest bogactwem, ale twoja praca, usługa, którą przez nią czynisz fabryce, gdzie pracujesz. Pieniądz zaś czyli moneta, jest tylko sposobem zamienienia wzajemnych usług pomiędzy ludźmi. Albo znowu, jeżeli dajmy na to, ma kto grunta w Kalinówce, a chce kupić sobie chałupę w Jaworowie; nie może on gruntów przenieść do Jaworowa, ale je sprzedać musi, a za pieniądze te kupić dopiero dom żądany.

— To z tego wypadnie, zarzucił Szlej, że ponieważ płacimy usługi, a te usługi wszystkie zasadzają się na pracy, należałoby mniemać, iż rzeczy warte są tyle, ile praca, którą na ich wyrobienie podejmujemy. A jednak inaczej się dzieje. Korzec naprzykład żyta, którego produkcya czyli otrzymanie tyle pracy kosztuje, sprzedaje się po cenie kilkunastu złotych, gdy tymczasem za zegarek, który lżejszej wymaga pracy, zapłacą summę wyższą nad płacę stu rolników.

— Mój kochany, odrzeknie doktór, praca nie mierzy się ani podług czasu, ani podług siły człowieka, ale wedle rzadkości swojej, a zręczności i uzdolnienia robotnika. Takich, co ręką dzwignąć są zdolni, znajdziesz bardzo wielu, a takich, którzyby ci zegarek zrobili, albo książkę napisali, daleko mniej pokażesz. Pomyśl bowiem, ile trudów, nauki, zabiegów i wydatków musiał wyłożyć zegarmistrz na to, aby się swojej sztuki wyuczył, ile znowu tamten naślęczyć, ile naślepiać po nocy przy świecy, przeczytać starych szpargałów, aby książkę użyteczną napisać!

To wszystko praca, i daleko mozolniejsza od pracy np. drwala, który cały dzień siekierą bije. Zresztą i w fabryce u was jeden zręczniejszy od drugiego, lepiej uzdolniony, to prędzej i dokładniej pracuje, a zatem lepiej jest płatny. Podobnie i w innych rzemiosłach i rękodzielniach się dzieje.

— A kupcy w mieście, przerwał Szlej, jakąż oni usługę oddają ludziom? przecież nic

nie tworzą, nie wyrabiają, tylko kupują i nam drożej sprzedają.

— Powiedź mi, gdybyś potrzebował mydła, świec, cukru, oliwy i t. p. rzeczy, których w miejscu twego zamieszkania nie masz, tożby musiałbyś po nie do fabryki sam pojechać lub pójść piechotą. Musiałbyś nadto tych rzeczy kupić odrazu więcej, niżbyś potrzebował, a na to trzeba dać naprzód pieniądze i to w znaczniejszej ilości. Cóż więc robi kupiec? oto podejmuje on te trudy i wydatki— czyż to nie jest pracą ciężką, równie jak ta, jaką ma Bonek na roli, a Klepacz w swej kuźni? On ci usługuje, ułatwia zaspokojenie twych potrzeb, ryzykuje napród swe pieniądze; a więc musi mieć za te swoje trudy, należne wynagrodzenie. Pracować zresztą, nie jest to tylko robić rękami, dźwigać, kopać, albo orać, jakem wam już wyłożył; ale pracuje się głową, przemyśliwaniem, zabiegami, pieniędzmi, aby inni z tego korzyści mieli. Otóż podobnie pracuje i kupiec.

— No, to już zgoda, ale np. dziedzic Kopytowa, od którego Walenty trzyma w dzierżawie grunta, za cóż on od niego pieniądze bierze i to pieniądze dobre?

— Za to właśnie, że jest właścicielem wsi, to jest, że on, lub jego pradziadowie doszli do jej posiadania i doprowadzili ją do stanu takiego, w jakim ją dziś widzimy. A wytłumaczyłem wam dopiero, że pierwszym przymiotem każdej własności jest możność rozrządzadzania nią i ciągnienia z niej użytku. Otóż dziedzic Kopytowa bierze dzierżawę, jako procent od pieniędzy i pracy włożonej w grunta, które Walenty trzyma, a bierze ją odpowiednio do pracy i wydatków, jakie on lub poprzednicy jego w tę ziemię włożyli.

Gdyby zaś dziedzic dzisiejszy lub jego poprzednicy tej wsi nie był ją przyprowadził do tego stanu dobrego, jaką dziś posiada, czyżby Walenty dał mu tyle, co dziś płaci? Zapewnie, że nie, i dziesiątej częściby dać nie chciał.

A zatem wszystkie nasze zamiany usług, czy to rzemieślnika, czy rolnika, czy wyrobnika, czy kupca, czy właściciela, są tylko jedną *zamianą pracy*, a ta tylko stanowi prawdziwe źródło wszelkiej wartości i rzeczywiste bogactwo człowieka.

Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych.

ELEMETARZ DLA CHŁOPCÓW WIEJSKICH

Warszawa, roku 1859. Cena gr. 10 (kop. 5).

Włościanie nasi trafnie określają stan swego umysłowego ukształcenia, nazywając się sami ludźmi ciemnymi; otóż ciemnota ta największą jest dla nich przeszkodą do pozyskania i do zamiłowania lepszego bytu. Gdziekolwiekbądź: w mieście, na odpuście lub jarmarku, przy każdym handlu i sprzedaży, narażonym on jest na straty i oszukaństwo, bo nie zna rachunku, bo nie umie zwykle pisać ani czytać, bo jest człowiekiem ciemnym.

Za brakiem tej nauki idzie pomimowolne upodobanie w zabawach grubych i karczemnych: w pijaństwie i bijatyce, jakim zwykli oddawać się włościanie nasi w niedziele i święta. Wieśniak umiejący jakotako czytać, mógłby przyjemnie i pożytecznie spędzać wolne od pracy chwile w gronie dziatek i rodziny, na czytaniu książek religijnych i pism dla nauki jego wydawanych, zamiast co je trwoni bezpożytecznie, nieraz z obrazą Bożą na próżniactwie, lub nieprzyzwoitych zabawach, z uszczerbkiem zdrowia i kieszeni. Mniej bowiem daleko kosztowałoby nabycie pożytecznej książki, aniżeli kosztuje wypita i rozczęstowana gorzałka, pobite w karczmie okna i kieliszki, nadwerężone zdrowie i niezdolność choćby chwilowa do pracy.

A jednak nauka czytania nie tak jest trudną, zwłaszcza, gdy się w młodszym wieku do niej przyłożymy. Dlatego ojcowie rodzin święty mają obowiązek uchronić dzieci swe zawczasu od tych błędów i niedostatków, jakich sami doświadczają, jeżeli mianowicie mają potemu sposobność i ułatwienie. Brak pojęcia w dzieciach nie może być dla nich wymówką, ani zasłoną, gdyż wieśniacy nasi słyną owszem bystrością przyrodzonego rozsądku i pojętności; zkąd nawet weszło w zwyczaj, mówiąc o człowieku posiadającym zdrowy naturalny rozsądek, dodawać: *ma chłopski rozum*. Nie podobna znowu, ażeby się nieznalazł, jeżeli nie w tej samej, to w przyległej

wiosce lub miasteczku, jaki człowiek posiadający naukę czytania, pisania i nieco rachunków, coby się podjął dzieciom włościańskim nauk tych udzielać, tam, gdzie niema dotąd miejscowej szkółki lub ochronki, byleby ojcowie ich zechcieli zapewnić mu odpowiedni sposób utrzymania życia; co zbiorowo dla całych wiosek byłoby nader nieznacznie dla szczęścia własnego potomstwa uczynioną ofiarą, tem więcej, gdy aż nadto pewni jesteśmy, iż dziedzice widząc dobre chęci swych włościan, przyszliby im w tej mierze ze skuteczną pomocą.

Elementarz ten w formacie osemkowym, składa się z 92 stronnic, a kosztuje tylko gr. 10; cena więc jego jest tak niska, że się w naujuboższej chacie znajdować może. Dzieli się on na cztery części, z których:

Część I. mieści w sobie alfabet z liter dużych i małych, podział tychże liter na samogłoski i spółgłoski; składanie stopniowane liter po 2, 3, 4 aż do 5; dalej składanie całych wyrazów, najwpierw jedno syllabowych, następnie 2, 3, 4 i 5-syllabowych.

Część II. naukę codziennego pacierza, dziesięcioro Bożego przykazania i dwoje przykazań miłości, akt wiary i modlitwę przed nauką; dalej modlitwy na Anioł-Pański, litanię do Najświętszej Maryi Panny o uproszenie szczęśliwej śmierci, polecenie samego siebie Najświętszej Maryi Pannie i modlitwę o błogosławieństwo, oraz pieśni poranną i wieczorną.

Część III. krótki zbiór katechizmu według kościoła Sgo Rzymsko-Katolickiego, obejmujący w zwięzłym i jasnym wykładzie wszystkie zasady wiary katolickiej, który to wykład zaleca najwyższa prostota, ten najpierwszy przymiot wzniosłych prawd religijnych.

Część IV. prawdy gospodarskie przez starych gospodarzy na pytania i odpowiedzi ułożone:

Żeby młodzi tak robili,
Jak to starzy uradzili.

Obejmują one to wszystko, co się gospodarstwa wiejskiego dotycze, wyrażone w kilku słowach, w formie zapytań i odpowiedzi, malujących rzecz jasno i dosadnie, a dla lepszego wbicia się w pamięć w kilku po większej części wierszykach streszczone; i tak np. na zapytanie: kto jest złym sługą, odpowiedź obejmuje, iż ten:

Co w pracy niedbały,
W mówieniu zuchwały,
Co kłamie i kręci,
Na cudze się nęci,
Przy robocie łazi
Niby mucha w mazi;
Bydlętko nieboże
Wygłodzi, zniemoże;
Co rok służbę zmienia
I jest bez sumienia.

Albo na zapytanie: jaki nawóz trzeba w pole wywozić? odpowiedź jest następna:

Na ścisły, gliniasty:
Dobry gnój słomiasty,
A na piaszczysty:
Przegniły, maścisty.

W tym mniej więcej sposobie objaśniane są wszystkie pytania, a na każde z nich jest odpowiedź stósownie zwięzła i trafna.

Zakończa elementarz tabliczka mnożenia i liczby rzymskie.

Nie jesteśmy w stanie oddać pochwał jego treści i układowi, prostocie i zwięzłości stylu; każda z jego części jest widocznie starannie obmyślaną i do potrzeb i pojęcia młodzi wiejskiej, dla której elementarz ten głównie jest przeznaczony, zastósowaną. Dlatego też powitaliśmy go z prawdziwą radością, i z niemniejszą radością wiadomość o nim pośpieszamy wam udzielić, polecając go jak najusilniej nie tylko wszelkim ochronkom i szkółkom parafialnym i elementarnym, ale każdemu ojcu wieśniaczej rodziny, poczuwającemu się do obowiązku dania jakiegokolwiek ukształcenia swym dzieciom. Odzywamy się w tej mierze do dziedziców i proboszczów, aby wpływem swoim elementarz ten pomiędzy włościanami upowszechniali, jako jeden z najdzielniejszych środków do zaszczepienia po-

między niemi stopniowo tak potrzebnej oświaty i wykształcenia ich na ludzi poczciwych i pożytecznych.

O otwartych praktykach gospodarczych i rzemieślniczych.

Wiadomość z okręgu Sochaczewskiego.

a) *Praktyki gospodarcze.*

—

1. Dobra *Giżyce* zobowiązują się przyjąć dwóch praktykantów do gospodarstwa ogólnego, którym przyrzekają dostarczyć bezpłatne utrzymanie przez lat trzy, żądając, aby za toż utrzymanie dozorem robót w miarę zdolności się wypłacali.

2. Dobra *Strugi* przyjmują jednego praktykanta do gospodarstwa, żądając, aby tenże przynajmniej czytać, pisać i cztery działania umiał; przez czas praktyki zapewniają mu mieszkanie i utrzymanie bezpłatne, a gdyby okazał się zdolnym i pracą swą mógł coś zarobić, przyrzekają gratyfikacye, mogące przyjść w pomoc na oporządzenie się praktykanta.

3. Właściciel dóbr *Drybus* obowiązuje się przyjąć dwóch praktykantów do gospodarstwa, przedewszystkiem owczarnego; żąda, ażeby już byli w wieku od lat 13 do 18, ażeby umieli czytać, pisać i cztery działania arytmetyczne. Praktykantom zapewnia się utrzymanie bezpłatne; odzież jednak winni sobie sami sprawiać, dopókąd w uzdolnieniu tak nie postąpią, że właściciel będzie im mógł przeznaczyć jakieś wynagrodzenie. Czas praktyki dwuletni.

4. Dobra *Oryszew*, gospodarstwo buraczane przy cukrowni, miejsce na dwóch praktykantów, wieku od lat 16 do 20; warunki jak wyżej w Drybusie.

5. Dobra *Guzów*, gospodarstwo buraczane przy cukrowni przyjmuje dwóch praktykantów, pod warunkami jak wyżej; w tychże dobrach do irrigacyi miejsce na praktykanta jednego. Praktyka roczna z utrzymaniem i pensyą.

6. Dobra *Szymanów*, do ogrodnictwa miejsce na jednego praktykanta na lat trzy; powinien umieć czytać i pisać—właściciel dostarczy utrzymanie i pensyę wedle etatu dla ogrodniczków.

7. Dobra *Chodaków*, miejsce na trzech praktykantów, z których jeden do młyna amerykańskiego, drugi do piekarni; ci dwaj powinni być w wieku od lat 15 do 18, powinni umieć czytać i pisać; właściciel przyrzeka im utrzymanie i okrycie, z warunkiem, ażeby pełnili obowiązki terminatorów. Do chmielnika praktykant jeden, czas dwuletni; właściciel zapewnia utrzymanie i okrycie, z warunkiem, żeby praktykant to pracą ręczną przy chmielniku odrobił.

8. Dobra *Nieborów*, praktykantów trzech, z których jeden do gospodarstwa, pod dyspozycyą ekonoma mający zostawać, drugi do leśnictwa, pod dyspozycyą leśniczego, trzeci do ogrodnictwa kwiatowego i oranżeryjnego. Czas praktyki trzechletni; na utrzymanie praktykantów, którzy mają być na swoim stole, właściciel przeznacza dla każdego rocznie po złp. 540, czyli rsr. 81.

8. Do wsi *Ruszki* mogą być przyjęci chłopcy do ogrodnictwa sadowego, w celu nauczenia się praktycznie zakładania szkółek i hodowli wawrzyw, pod nadzór ogrodnika wynagrodzonego medalem, Andrzeja Rutkowskiego. Utrzymanie tych na lat trzy dominium zapewnia.

b) *Praktyki rzemieślnicze.*

Kowal Swyniarski z Feresina chce przyjąć dwóch praktykantów na terminatorów, przez lat dwa o własnem ich sprawunku, a następnie jako uzdatnionym on sprawiać ubranie obowiązuje się.

Dwóch takich praktykantów obowiązuje się przyjąć kowal Waleryan Leszczyński we wsi Giżyce, wielce uzdatniony rzemieślnik, który odebrał nagrodę za okazy podków na zeszłorocznej wystawie Łowickiej.

Od Redakcyi.

—

Redakcya Czytelni podaje do wiadomości, iż stacye pocztowe upoważnione zostały na nowo do przyjmowania na prowincyi i w cesarstwie prenumeraty Czytelni i **Kwartalnej**, jak to dawniej miało miejsce; prenumerata zaś roczna i półroczna pozostaje jak dotąd.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 18 (30) października 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*